



ELIZA ORZESZKOWA

Syn stolarza


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

ELIZA ORZESZKOWA

Syn stolarza

*„Ani z roli, ani z soli,
Ale z tego, co było”.*

Na wysokości górze, w gęstwinie drzew, tworzących szerokie ogrody i parki, stał piękny pałac, z dachem, błyszczącym ponsową blachą, z tarasem, pełnym kwitnących zamorskich roślin, z jedną wysmukłą wieżyczką.

U stóp góry płynęła rzeczka kręta i szumiąca, a nad jej brzegiem, w cieniu rozłożystych grusz i jabłoni, krył się pokornie szary domek, o czterech czystych, lecz małych okienkach, ze strzechą słomianą i gankiem, na dwóch drewnianych słupach opartym.

Za rzeczką zieleniła się rozległa dolina, a u jej dalekiego krańca większe i mniejsze wzgórza otaczały widnokrąg, jakby podając sobie ręce do tanecznego koła. Z po-za nich wyglądały wioski rozliczne, to ukazując parę chat z dymiącymi kominami, to niby błogosławiąc okolicę gromadą wyniosłych krzyżów. Przez środek doliny, krętym i białym szlakiem, biegła droga, przecięta, rzuconym na rzecze, zgrabnym zielonym mostem, mijała z bliska szary domek o słomianym dachu i, pnąc się po górze, wiodła pod murowaną bramę pałacu, wysoką, ozdobioną u szczytu oszkloném mieszkaniem odźwiernego.

A było to w urodzajnej, górzystej stronie, kędy echo wiejskiego śpiewu objiła się o zielone szczyty wzgórz, kędy wiejskie dziewoje rosna wysmukle, jakby się na pałacowe zapatrzyły wieże, wesole, jakby się w swawolnie szemrzące wsłuchały potoki.

Pałac, żyzna dolina i wszystkie wsie widzialne dokoła, całe słowem dobra, zwane Olsk, należały do pani Eufemii Z., z domu Odrowążówny, wdowy po zacnym człowieku, zmarłym przed wielu laty. Imię zgasłego dziedzica Olska ze czcią wspominałoby przez całą okolicę, ale do czci tej łączyło się pewne politowanie. Mówiono, że pan Z. więcej był zacnym niż szczęśliwym, bo małżonka jego, pani Eufemia, nie dała mu domowego szczęścia, pychą swą i samolubstwem trując dni sprawiedliwego. To też, po jego śmierci, mało ludzi zaglądało do pysznego pałacu, i dumna pani, żyjąc samotnie, karmiła się myślami o swjej wielkości, jak pustelnik miodem leśnym, a resztę śmiertelnych uważała za nędzną szarańczę, niegodną spojrzenia jej szarych, przymrużonych oczu. Pani Eufemia była małego wzrostu i bardzo otyła; oblicze jej było szerokie i rumiane, dumnie podniesione, a giesta królowej, wydającej rozkazy tłumowi poddanych.

W domku, stojącym u stóp góry nad rzeczką, mieszkał stary stolarz, Onufry Hebel, mieszczanin rodem, ale od bardzo dawnych czasów osiedlony w Olsku. Mąż pani Eufemii, budując przed laty pałac swój, powierzał mu stolarskie w nim roboty, a zadowolony z wielkiej zręczności i umiejętności rzemieślnika, darował mu domek nad rzeką z owocowym ogrodem i sporym kawałem żyznego gruntu. Onufry Hebel posiadał ogólną opinią bardzo uczciwego i nad stan swój oświeconego człowieka, oddawna był wdowcem i miał jednego tylko syna, który od dzieciństwa zyskał był sobie szczególną łaskę i względy u pana Wincentego Odrowąza, rodzzonego brata pani Eufemii, ale wcale z charakteru niepodobnego do niej. Opowiadano, że kiedy syn stolarza Hebela był jeszcze małym chłopcem, pan Odrowąż, przybyły w odwiedziny do siostry, ujrzał go raz siedzącego nad rzeczką, i z niezmiernym trudem a wytrwałością czytającego z małej książeczki. Uderzony pojętną twarzą dziecka, zagadał do niego, pytając, czemu-by się tak mozolił nad książką, i jakiej ze swego czytania spodziewa się korzyści.

Chłopak podniósł bystry wzrok na wyniosłego pana i odpowiedział krótko:

— Chciał-być zostać rozumnym człowiekiem, i dla tego się uczę.

Pan Odrowąż uśmiechnął się dobrotliwie, pokręcił szpakowatego wąsa i rzekł do stolarza:

— Słuchajno, panie Hebel, masz waść syna, dzielnego chłopaka; małe to takie, a już świeci ku dobremu. Ot, jak się uweźmiemy we dwóch, to uczynimy go rozumnym na chwałę Bogu i pożytek ludziom. Daj waść na to swoje pozwolenie, a ja dam potrzebne pieniądze.

Hebel z podzięką i godnością, która go cechowała, pokłonił się zacnemu panu, i mały Romanek pojechał do szkół, potem czas długi kształcił się w krakowskiej wszechnicy, aż nareszcie stanął o własnych siłach, a w okolicy Olska chodziła wieść, że wyszedł na bardzo biegłego prawnika i zyskał sobie powszechną wziętość w Krakowie. Jakiś stary towarzysz Hebla, rzemieślnik jak on, i jak on uczciwy, pojechał raz do Krakowa, w odwiedzinach do kogoś z krewniaków, tam mieszkających i, wróciwszy, opowiadał, iż odwiedził Romana Hebla w jego własnym mieszkaniu, pięknie i dostatnio urządzone, i ze wszystkiego, co widział, mógł wnieść, że syn Hebla miał znaczne dochody. Dodawał jeszcze ze łzą w oku stary rzemieślnik, że, mimo powodzenia swego, Roman nie zapomniał o starych znajomych i, nie wstydząc się grubiej jego sukmany, powitał go bardzo uprzejmie w obecności kilku pięknych i bogatych snadź panów, którzy byli zebrani w jego mieszkaniu i obchodzili się z nim z widoczną przyjaźnią.

Pani Eufemia, mimo pałacu, dóbr i całej swjej wielkości, mniej była szczęśliwa od stolarza Hebla, bo nieba nie pobłogosławiły jej potomstwem. Nigdy w bogatych ścianach jej mieszkania nie zadźwięczał głosik dziecięcy, tak słodki dla każdej piersi kobiecej, nigdy szyi jej nie otoczyły drobne, miękkie rączka. To też dumna pani, wśród samotności swjej, nie raz zamyśliła się smutnie nad tem, iż nie miała komu zostawić w dziedzictwie bogactw swych i swjej dumy; a może też kiedy w jej sercu i bardziej ludzka a kobieca struna ozwała się tęsknotą za uczuciem macierzyństwa, które jest kwiatem i glorią uczuć wszelkich. Bądź co bądź, smutno i posępnie było w ścianach Olskiego pałacu bez młodocianych głosów i śmiechów, gdy pewnego razu wcale niespodzianie zawitał do Olska pan Wincenty Odrowąż, ale nie sam jeden, bo przywiózł ze sobą dorosłą i urodziwą pannę, a stając z nią razem przed panią Eufemią, rzekł:

— Przywiózłem ci, kochana siostrzyczko, pannę Lillę Odrowążównę, synowicę naszą, osierociałą, jak wiesz, przed rokiem. Był-bym się z nią nie rozstawał wcale i zatrzymał ją we własnym domu, ale dziewczyna potrzebuje kobiecej opieki, a ja nie żonaty. Powierzam ci ją, jako córkę twego i mego brata, warując sobie, że jak ty będziesz jej opiekunką, tak ja opiekunem jej być nie przestanę, i oboje wspólnie zajmować się będziemy dalszym jej losem.

Lilla została w Olsku. Nie była to Wołynianka, o czarnym oku i śniadłej cerze, ale córka zimniejszej strony, białolica i jasnooka, bo się pono gdzieś aż nad brzegami Wili urodziła. Włosy miała tak jasne, jako len najpiękniejszy, śliczne ponsowe usta, z których wyglądały, niby perły, białe i równe ząbki, na gładkiem czole nosiła pogodę i czystość dziewczęcą, a kibicią wyrosła ku podobieństwu brzoźki leśnej: smukła, cienka i gibka, z drobnymi rączkami, które-mi-by się lubować mogło oko artysty-snycerza. Za ledwie miała lat siedmnaście, a już wiedziała, co to jest gorzka nieszczęścia. Rodzice jej różnemi a dziwnemi kolejami fortuny utracili znaczny majątek, a w końcu, umierając sami, zostawili ją sierotą. W głębi serca swego osierocona dziewczyna chowała pamięć o matce swjej, pięknej i dobrej jak anioł, i ojcu, który niedolę wszelką przeniósł z hardym czołem i nieposzlakowanym sumieniem. Z rodzinnych stron swoich wywiozła dwa wspomnienia ciemnych lasów, co szumiały nad jej kolébką, i przeciągłej pieśni ludowej, której nuty, płynącej po łąkach, słuchać lubiła, bawiąc się u kolan matki. Tęsknota cicha, serdeczna, za tymi, którzy zmarli, i za tem, co opuściła, osiadła w młodziuchnej jej piersi, odbiła się w oku wyrazem marzenia, i odbrzmiała w głosie miękką słodyczą. Lilla lubiła gwiazdy, kwiaty i muzykę, lubiła śpiew i poezję, i nieraz, godzinami całemi, śpiewała sama, lub duszą tonęła w tych poetycznych brylantowych opisach, które malują tęczowemi barwami szczęście, miłość i bohaterskie cnoty. A gdy się tak zaczytała, lub zaśpiewała, to i zamarzyła dziewczica-sierota, błękitne oczy zakrywała białą dłonią i z marzeń swych spowiadała się przed matką swoją, której obraz tkwił w jej sercu, uświęcony pamięcią pobożną, i jak wołanie, dochodzące z za grobu, przemawiał do niej głosem miłości najwyższej.

Taką była Lilla. Gdy po odejście stryja pozostała w Olsku, wbiegła na pałacowy taras, panujący z wysoka okolicy, ogarnęła okiem cały widnokrąg i, objawszy ramionami grube drzewo mirtowe, zapłakała rzewnie. W owej chwili podwójnie ujrzała się sierotą, bo poczuła, że nigdy serce jej nie uderzy zgodnie z sercem ciotki, która jej matkę zastąpić miała.

Wszakże od przyjazdu Lilli pałac w Olsku ożywiać się począł; po okolicy rozeszła się wieść o piękności i dobroci przybyłej tam dziewczycy, a że była ona synowicą zacnego Odrowąza i bogatej pani Eufemii, że wdzięki jej miały być ozłoczone dźwiękami bogatych spadków po stryju i ciotce, mnóstwo ludzi zapragnęło ją poznać, i cichy dotąd Olsk, zabrzmiał nieznanym tam oddawna, rozgwarem. Pani Eufemia chciała pokazać się wielką panią w uczuciach swych dla synowicy, zapraszała więc i przyjmowała wszystkich wystawnie, a Lilla w białej sukience, z szafirowemi habrami w warkoczach, wyglądała jak świeżo rozkwitła lilijka, i czarowała mnóstwo ludzi swém marzącem spojrzeniem i pełnemi serdecznój głębi tonami swego głosu.

Pogodny czerwcowy dzień miał się ku końcowi; na ganku swego małego domku siedział Onufry Hebel, zajęty jakąś misterną, stolarską robotą. Wokoło niego panował spokój, właściwy wiejskiej zagrodzie; po murawie małego dziedzińca wesoło igrały promienie słońca; z za płotu migotała rzeczka, iskrząc od złotych promieni; z oddali dochodził ryk trzody, a na niewielkiej stodółce rozgłośnie klekotał bocian. Do słupa ganeczka, nad samą głową siedzącego stolarza jaskółka przylepiła swoje gniazdko, i wychylona z niego, odzywała się niekiedy, niby dając rady swe i zdanie o robocie, którą on wykonywał. Z góry, po białej drodze, z głośnym turkotem szybko zjeżdżały wozy jednokonne, wracające od pałacowych robót, dudniły na moście i, cicho tocząc się dalej po dolinie, niknęły w kierunku wiosek, leżących między wzgórzami. Stary Hebel pochylił głowę, okrytą siwemi włosami, pogrążył się w swój robocie i, gorliwie robiąc dłutem, zanucił z cicha: „Wszystkie nasze dzienne sprawy.”

Nagle podniósł głowę, przestał śpiewać i zaczął wsłuchiwać się w coś z natężoną uwagą. Do wszystkich odgłosów pogodnego wieczoru dołączył się jeszcze jeden, z razu słaby i oddalony, potem co raz bliższy i wyraźniejszy; był-to odgłos pocztowego dzwonka, płynący naprzód z za wzgórz, a potem po dolinie.

Hebel z natężeniem słuchał dzwonka i patrzył na toczącą się, śród kłębu kurzawy, parokonną bryczkę; cała dusza jego była we wzroku. Bryczka zadudniła na moście, ale nie pojechała ku pałacowi, tylko zwróciła się na boczną drożynę, wiodącą do domu stolarza. Ujrawszy to, Hebel, złożył ręce jak do modlitwy.

Przed gankiem z bryczki pocztowej wyskoczył rażny młodzieniec, w pięknym podróznym ubraniu. Hebel powstał i chciał postąpić naprzeciw niemu, ale zbrakło mu siły, — upadł na ławę całym ciężarem, zakrył oczy rękoma i z piersi jego wyszedł głuchy jęk. Miał to być wykrzyk radości, ale mocą wezbranych uczuć zamienił się w jedno głębokie łkanie.

Młodzian jednym skokiem był u kolan stolarza i w białe dłonie ujmując spracowaną rękę starca, ze czcią ją do ust przycisnął.

Takie było milczące a serdeczne powitanie starego Hebla z synem. Z gniazdka swojego patrzyła na nie jaskółka i kręciła główką, i szczebiotała żywo, jakby pokazując dzieciom swym tego strojnego i dorosłego młodziana, który ze czcią i miłością klęczał przed starcem, odzianym sukmaną.

Roman Hebel miał lat 27. Trzy lata dopiero kończyło się, jak rozpoczął swój zawód prawnika, a już zyskał sobie powszechną i ustaloną opinią człowieka nieposzlakowanej uczciwości i wiele rokującego na przyszłość. Wymową swoją zachwycał nieraz słuchając go publiczność, a w zawilych kwestjach sędziwi i zasłużeni jego współkoledzy nieraz go wzywali do pomocy i rady.

Z męzkim hartem, który mu dawał zdolność do wytrwałej pracy i śmiałego czynu, i z głęboką, nie pospolitą nauką, Roman łączył wielką prostotę, układu i świeżość młodzieńczą, jedną mu wszystkie serca i skłaniającą ku niemu wszystkie, choćby zawistne

z razu, umysły. Średniego wzrostu i kształtnej postaci, twarz miał o ściągłych, regularnych rysach, i ciemne, bardzo gęste, włosy. Na białym, szlachetnie zarysowanym jego czole, jaśniała pogoda i otwartość; w ciemnych, rozumnych oczach błyszczał często ogień zapалу, a usta uśmiechały się szczerotą i młodzieńczym weselem. Najpiękniejszym jednak był wtedy, gdy mówił, bo głos miał pełen męskiego oddźwięku, a mowę czystą, płynną i nacechowaną taką energią, jaką mu płonął wzrok i jaką w czynach objawiał. Ojca swego kochał bardzo i czcił, mimo, że odszedł od niego umysłem i sferą towarzyską, śród jakiej mu życie płynęło. Pragnął nawet i nalegał był na to, aby zamieszkał on z nim w Krakowie; ale stary stolarz sprzeciwił się temu, bo przywykł już do swjej zagrody, w której liczne przeżył lata, i myślał o zamieszkaniu w wielkim mieście nieledwie straszna mu była. Szanował wolę jego Romana i tylko niekiedy odwiedzał ojca — nieczęsto jednak, bo, gorliwie zajęty pracą i przyjętymi na siebie obowiązkami, nie miał czasu na odbywanie podróży. Wszyscy jednak towarzysze i znajomi młodego prawnika w Krakowie wiedzieli o jego pochodzeniu, bo się z nim nie tał bynajmniej, i — z wyjątkiem kilku półgłówków — tém bardziej jeszcze lubili go i szacowali. W niektórych nawet oczach nizkie to jego urodzenie dodawało mu pewnego poetycznego uroku, zdobiącego zawsze człowieka z ludu, który własną tylko pracą z łona ciemnoty dźwignął się na szczyt oświaty, i stanął w szeregu ludzi, walczących na czele społeczeństwa.

Pan Wincenty Odrowąż, opiekun Romana, ilekroć go ujrzał, muskał z zadowoleniem siwego wąsa i spoglądał na niego nieledwie ojcowskim wzrokiem; a gdy przyjeżdżał do Olska, szedł do domu stolarza i, ściskając jego grubą rękę, mówił:

— Panie Hebel, winszuję ci syna. Jak-em Odrowąż, dzielny to chłopak!

Przybywszy do Olska, po dwuletniej tam niebytności, Roman nie mógł nacieszyć się widokiem miejsc rodzinnych. Biegał po stromych urwiskach góry, przypominając sobie lata chłopięce, odwiedzał wioski, zachodząc do skromnych mieszkań towarzyszy i przyjaciół ojca swego, i pełną piersią oddychał wonnym powietrzem kwitnącej doliny. Stary ojciec patrzył na niego z rozkoszą i, mimowoli składając ręce, dziękczynne westchnienie posyłał do tego Boga, którego czcił i chwalił całym swym pracowitym, prostaczym a niepokalanym życiem.

W kilka dni po przyjeździe swym do Olska, wraz ze wschodem słońca, Roman stał na ganeczku starego domu i opowiadał o czémś ojcu, siedzącemu z dłutem w rękach, które tylko co pracować przestały. Syn i ojciec gwarzyli i śmieli się wesoło, a jaskółka, jakby rozmowa ich spać jej nie dawała, wychyliła główkę z gniazdeczka i odzywała się niekiedy cichutko, niby wtrącając się do gawędki, albo gdérząc na gospodarzy domu, że spać już nie idą.

Nagle Roman przestał rozmawiać i wpatrzył się z natężeniem w stronę drogi, wiodącej ku pałacowi. Drogą tą zbiegała z góry lekka postać kobieca, w białej sukni. Zmrok zaczął dopiero zapadać, i choć rysów kobiety nie można było widzieć z oddali, kształty jej pięknie zarysowywały się na szarém tle widnokręgu, i warkocze jaśniały nad jej czołem, jak aureola z białych promieni. Zbiegła z góry, stanęła na mostku, i, oparłszy się na jego krawędzi, zaczęła patrzeć w bystro płynącą rzeczkę.

— Ojczy, kto jest ta pani? — spytał Roman.

Stolarz pochylił się, popatrzył i odrzekł:

— To panna Lilla Odrowążówna, synowica dziedziczki Olska i pana Wincentego.

— Ona tutaj! Lilla jest tutaj — zawołał Roman z takim giestem, jakby coprędzej chciał poskoczyć ku stojącej z dala dziewczycy.

Hebel ze zdziwieniem spojrział na syna.

— Alboż ją znasz? — zapytał.

— Widywałem przed rokiem pannę Odrowążównę w domu pana Wincentego w Krakowie — odpowiedział, miarkując się i spokojnie, młody prawnik.

— Było to zapewne przed przyjazdem jej tutaj.?

— Niezawodnie; alem ja wcale nie wiedział, dokąd wywiózł ją pan Wincenty, a pytać go o to nie śmiałem...

Nie dokończył słów swych Roman, bo w powietrzu rozbrzmiał pół śpiew pół wesoły, pół rzewny, dziewiczy, i popłynął nad wodę, w dal, odbijał się o wzgórza i wracał od nich, zdwojony echem, brzmiałem przeciągle w cichém, czystém powietrzu. Lilla śpiewała, patrząc w wodę, w której zaczynały przegłędać się pierwsze gwiazdy wieczorne.

— O tak, to jój głos! — zawołał Roman — poznał-bym go na drugim końcu świata!
— I znowu poruszył się, jakby chciał biedz ku niój, ale silną powściągnął się wolą i, usiadłszy na ławce ganku, słuchał.

Późno już było; Lilla oddawna zniknęła z mostku i oddawna echa wzgórz przestały pieśń jój powtarzać; stary Hebel spał w swym domu snem sprawiedliwego, i w gniazdku swém usnęła towarzyszka jego, jaskółka, a młody prawnik chodził jeszcze nad brzegiem rzeki i półgłosem nucił piosenkę Lilli.

Ranek był wczesny, słońce zaczynało dopiero pokazywać się z za wzgórz łańcucha i, między drzewami porastającymi góry, migotało gdziegdzie to różowo, to złocisto; w gałęziach ptactwo świergotało zawzięcie; od doliny wiała woń rozbudzonych porankiem kwiatów.

Tuż za bramą, wiodącą do pałacowego parku, pod rozłożystym grubym dębem, siedziała na trawie Lilla, w białej, jak wczoraj, sukni, z różową różą nad czołem. Na kolanach jój leżał wielki pęk polnych kwiatów, z których drobne jój rączki wiły różnobarwny wieniec; lekki powiew wstrząsał niekiedy liśćmi starego dębu, a wtedy na głowę jój spadało mnóstwo srebrzystych kropel, niby drżącymi brylantami strojąc jasne włosy.

O kilka kroków za nią, z wązkiej dróżki, prowadzącej z doliny na górę, wychylił się młody człowiek z myśliwską torebką, przewieszoną przez ramię i, stojąc nieruchomie, wpatrywał się w siedzącą dziewczę z wyrazem twarzy, w którym była i łza, i uśmiech.

Lilla nuciła półgłosem; nagle urwała piosenkę, przestała splatać wieniec i cichutko szepnęła do siebie:

— Mój Boże, braknie mi liliowych dzwonek, trzeba pójść ich poszukać!

Młody człowiek obejrzał się wkoło siebie i ujrzał kilka bujnych łądyg, osypanych liliowymi dzwonekami; zerwał je w mgnieniu oka, a nim Lilla, zgarnawszy kwiaty, leżące na jój kolanach, powstać i obejrzyć się zdołała, Roman stał już przed nią z kwiatami w ręku.

Na to niespodziane zjawisko Lilla krzyknęła i splonęła karminowym rumieńcem.

— Pani potrzebowałaś do wienca swego dzwonek liliowych, a jam posłyszał jój żądanie i byłem dość szczęśliwym, aby módz je skutecznie — rzekł Roman z uśmiechem.

— Pan jesteś tutaj, w Olsku! — zawołało dziewczę z radośnym oddźwiękiem w głosie.

— Tak, pani, przyjechałem do mego ojca, nie wiedząc, że i panią tu znajdę.

— O, jakże to szczęśliwie! — zawołała z dziewczęcą szczerotą Lilla i podała mu obie ręce; — ja tak często myślałam o tём, czy też my kiedy spotkamy się jeszcze z panem.

— Więc pani myślałaś o mnie! więc pani mnie nie zapomniałaś! — rzekł z zachwyceniem Roman i przycisnął do ust jój ręce.

— Ja-bym miała zapomnieć o panu! — zawołała Lilla; — chybaś pan sam zapomniał, jak nam dobrze i mile czas schodził razem, gdyśmy w Krakowie spotykali się u stryjaska. W Olsku smutno mi bardzo... i choć ciocia dobra i ludzi wiele widzę, często myślę sobie, że gdybym jeszcze i pana widywać mogła, weselój-by mi było na świecie.

W oku Romana zaperliła się łza mężczyń radości, ale wnet zniknęła pod powieką, zostawiając po sobie tylko zdwojony blask źrenicy. Tём błyszczącém łzą i radością spojrzeniem wpatrzył się w głąb przejrzystych marzących oczu Lilli i rzekł, ściskając jój ręce w swych dłoniach:

— Lillo! i jam tęsknił za tobą; słodka twarzyczka twoja była ze mną wszędzie, wspomagała mię, gdym pracował, ku wszelkiemu dobru była mi gwiazdą przewodnią. Nie wiedziałem, gdzie jesteś, ale nie byłem smutny, bo wiedziałem, że cię odnajdę i zdobędę wolą moją i miłością. Bo ja cię kocham, Lillo!...

Na dźwięk tego wyrazu, Lilla krzyknęła i zakryła twarz rękoma. Roman odciągnął dłoń jój od lica, spojrział raz jeszcze z miłością w jój spuszczone oczy i, pochyliwszy się, gorąco ją pocałował.

W tój chwili między gałęziami dębu figlarnie a radośnie zakukała kukawka. Lilla drgnęła i żywiej splonęła się jeszcze, jakby się zawstydzila nawet ptaszyny, co patrzała na nią. Chciała uciekać, ale Roman silnie zatrzymał ją za rękę i oboje usiedli obok siebie pod dębem.

W pałacu ruch był już wielki; sama nawet pani Eufemia w batystach i koronkach wytoczyła się za swój sypialni i usiadła za stołem, zastawionym herbatą, gdy Lilla przy-

biegła z parku w wieńcu z polnych kwiatów, z rumieńcem na twarzy, a w oczach z takim wyrazem szczęścia, jakby się w nich przed chwilą wszyscy aniołowie niebios przejrzeni.

Pan Wincenty Odrowąż przyjechał do Olska. Lilla powitała go okrzykiem radości, bo szczerze kochała stryja, i pani Eufemia nawet uśmiechnęła się do brata uprzejmie, i na powitanie go podniosła się nieco z fotelu, z którego zwykła była królować w Olskim salonie. Pan Wincenty był jedynym w świecie człowiekiem, którego wyższość nad sobą mimowoli przyznawała, zresztą bała się go, bo zwykł był niemiłosiernie żartować z jej pychy i nawet niekiedy zręcznie a dowcipnie ją upokarzał. Pan Odrowąż miał przepędzić w Olsku parę tygodni, odwiedził więc kilka razy domek stolarza Hebla i widział się z Romanem.

Pewnego dnia, wróciwszy z tych odwiedzin, pan Wincenty zasiadł z fantazyą naprzeciw siostry swój, siedzącej w swym fotelu i puszczej się we wstęgach i koronkach, a musnąwszy wąsa, rzekł do niej:

— Mam ochotę przyprowadzić tu jutro i zaprezentować siostrze dobrodziejce pewnego kawalera.

— I kogóż to? — ozwała się pani Eufemia, przymrużając oczy, bo z miny brata poznała, że spotka ją coś niesmacznego.

— A Romana Hebla, dzielnego chłopca, i jakem Odrowąż, ozdobę młodzieży krakowskiej.

— Więc syna stolarza? — zapytała, podnosząc głowę pani Eufemia.

— A jużci syna stolarza; bo, jakem Odrowąż, nie spodziewam się, aby był na świecie jaki Hebel-hrabia — odparł pan Wincenty, patrząc na siostrę pół filuternie, pół niecierpliwie.

Pani Eufemia owinęła się koronkową mantylą, powąchała flakon z solami i, mocniej jeszcze zmrużając oczy, odrzekła:

— Bardzo przepraszam pana brata, ale nigdy żaden stolarz, ani syn stolarza, nie przestąpił i nie przestąpi, jako gość, progu mego domu.

— Tak siostra dobrodziejka myślisz? — rzekł pan Odrowąż, filuternie patrząc na siostrę.

— Tak myślę i tak będzie — odparła pani Eufemia i, powstawszy z godnością Imperatorowej Rzymskiej, wytoczyła się z salonu.

Pan Odrowąż patrzył za nią, kręcił wąsa i kiwał głową z politowaniem; potem spojrzął na obecną przy całej rozmowie Lillę. Białolica dziewczyna była różowa jak karmin, na rzesach spuszczonej jej oczu wisiły błyszczące łezki.

Pan Odrowąż uśmiechnął się, mrugnął figlarnie oczyma i, stojąc przed synowicą i biorąc się w bok, rzekł:

— A czemu to panna Lilla Odrowążówna raki piecze, gdy mowa jest o panu Romanie Heblu?

Lilla milczała, nie śmiać oczu podnieść na stryja.

— A cóżby to ciotka powiedziała na te oznaki panińskiego wzruszenia? przecież ty panna wysoko urodzona, a on syn stolarski! he?

Lilla, nie mogąc powstrzymać się dłużej, z głośnym płaczem rzuciła się na piersi stryja.

— Jakem Odrowąż, śmieszna z ciebie dziewczyna — zawołał pan Wincenty, dobrotliwie obejmując synowicę — no, gadaj-że mi zaraz, czy kochasz go, czy nie, a nie bec, bo to się na nic nie przyda.

— Stryjaszku! ja Bogu i sobie przysięgam, że jego tylko jednego przez całe życie kochać będę, — szepnęła Lilla, kryjąc oczy na piersi stryja.

Twarz Odrowąza zajaśniała poczciwym uśmiechem.

— No, to i bardzo dobrze — rzekł — to się i pobierzecie, bo i on powiedział mi, że ciebie kocha. Poczciwe chłopczyśko, mówi, iż doświadczał zgryzoty sumienia, kradnąc niby twoje serduszko bez mojej wiedzy. Niech-że więc je posiada z moim pozwoleniem i błogosławieństwem.

— Ale co ciocia na to powie? — szepnęła Lilla, uśmiechnięta przez łzy i całując ręce stryja.

— Ot wytniem jój taką siurpryzę, że aż podskoczy, choć grubsza ode mnie! — rzekł Odrowąż, pokręcając węża.

— Byle-by nie zbyt nagle ją martwić — prosiła dobra Lilla.

— Nie bój się, dziewczyno, wszystko pójdzie jak z płatka, już to ja biorę na siebie. A dobrze tak ciotce! niech nie będzie nadęta, jak bańka mydlana.

Wieczorem dnia tego, Lilla, podlewając swoje kwiatki, tak głośno i radośnie śpiewała w ogrodzie, że aż odgłos jój piosenki dochodził do ganku stolarza. Roman siedział tam z ojcem i chciwie chwycił uchem oderwane nuty dobrze mu znanego głosu, a jaskółka, wyglądając z gniazdeczka, patrzyła na niego i odzywała się niekiedy, jakby mówiła: słuchaj! słuchaj! tam Lilla śpiewa!...

Ostatniego dnia Czerwca uroczyście obchodzono w Olsku rocznicę urodzin pani Eufemii. Dumna pani sprosiła do siebie na festyn całe bardzo liczne sąsiedztwo, a nawet i z dalszych stron zawezwała wiele znajomych lub pokrewnych osób. Przez kilka dni robiły się świetne przygotowania, bo pani Eufemia chciała przepychem olśnić swych gości, a przycięm spodziewała się ujrzeć między nimi młodego pana Edwarda S., milionera, którego od dawna miała na oku, uważając go za stosowną partycę dla Lilli.

Gdy nadszedł dzień naznaczony, liczne powozy poczęły wjeżdżać na dziedziniec Olski. Pod oparty na murowanych filarach, kryty i brukowany podjazd pałacu, z turkotem wtłaczały się karęty sześciokonne, z forrejtarami na przodzie, koczyki zaprzężone piątka koni i powożone z konia po krakowsku, kawalerskie amerykanki i kabriolety z ugalonowanymi dzokiejami z tyłu. Obok karet, na małych siwakach kłusowali dziarscy chłopcy, ubrani po kozacku, a każdy z nich trzymał w ręce zgaszony kaganiec, którym miał oświecać państwu drogę z powrotem o późnej¹ nocy. Kawalerscy furmani trzaskali z batów ogniście, powożący z konia krakowscy stangreci przygrywali na trąbkach. Od bramy do samego podjazdu gwar i zamęt był wielki. Brzęczały uprzęże i błyszczwały blachy powozów i migotały różne barwy liberyi, a panowie i panie, w jaśniejących bogactwem strojach, wysiadając z pojazdu, wchodzili do obszernego przedpokoju, wyłożonego mozaikową posadzką, i ozdobionego marmurowymi wschodami, prowadzącymi na pierwsze piętro pałacu.

Na pierwszym piętrze, w obszernym salonie, pani Eufemia przyjmowała przybywających gości. Ubrana w aksamitną suknię wiśniowej barwy, na szyi miała kilka sznurów wielkich pereł, zamkniętych brylantowym fermoarem; siwiejące już jój włosy pokryte były czarną koronką, podtrzymywaną dwiema złotemi, w kształcie gwiazd zrobionymi, szpillkami. Siedziała zagłębiona w swym ulubionym fotelu, obitym ponsowym aksamitem o złotych ozdobach, a na twarzy jój, rzekłbyś, jak w zwierciadle przejrzały się wszystkie otaczające ją świetności, tak błyszczwała ona dumą i nakazującym wejrzeniem.

O godzinie piątej po południu, około sto osób było już zebranych w salonach Olskiego pałacu; oczekiwano tylko jeszcze pana Wincentego Odrowąża, który na parę dni przed festyną wyjechał był z domu siostry i miał wrócić w sam dzień jój urodzin.

Z pomiędzy przybyłych pań pięknoscią i światowym układem najbardziej się odznaczała pani Matylda W., bliska krewna pani domu, a wśród mężczyzn rej wodził pan Bolesław Radzymir, serdeczny przyjaciel pana Odrowąża, przybyły na uroczystość Olską aż z kądzi z pod Karpat. Otoczona gronem dziewic, w najmniejszym salonie, przez który goście przechodzić musieli, dążąc do gospodyni domu, siedziała Lilla w białej powiewnej sukience, z wieńcem niezapominajek na gładko uczesanych włosach. Całą kosztowność jój stroju stanowił sznur pięknych pereł, wijących się na łabędziej, śnieżnie białej jój szyi.

Za krzesłem Lilli stał młody pan Edward S., ów oczekiwany przez panią Eufemią milioner, przystojny blondyn z otwartym czołem, poczciwym uśmiechem i rożumnemi oczyma. Co moment schylał się on nad wianeczkiem niezapominajek i jakby chciał napać się delikatną wonią kwiatów, zdołających czoło pięknej dziewczicy, mówił do niój długo a na twarzy jego malowało się prawdziwe, szczere wzruszenie. Ale Lilla z roztargnieniem słuchała słów Edwarda; oczy jój ciągle zwracały się ku drzwiom, jakby oczekiwała kogoś, a na twarzy jój malowała się tęsknota, której skryć nie umiała.

¹późnej. [przypis redakcyjny]

Obiad miano podać o piątą, ale wielki brązowy zegar, stojący w środkowym salonie na marmurowej konsoli, wskazywał już szóstą, a pana Odrowąza jeszcze nie było. Pani Eufemia niecierpliwie spoglądała na drzwi i na zegar, ale nie wydawała rozkazu podania do stołu, bo czekała na brata, który jeden na świecie zaimponować jej umiał.

W małym saloniku młodzi ludzie i panienki zapraszali Lillę do fortepianu. Piękna panna usiadła przy instrumencie i od niechcienia zaśpiewała jakąś włoską aryetkę. Właśnie odśpiewała ostatnią nutę, gdy otworzyły się drzwi z łoskotem i wszedł naprzód pan Odrowąz ze zwykłą sobie fantazyą i bunczuczością, a za nim ukazał się Roman Hebel.

Ręce Lilli drgnęły na klawiszach i twarz zapłonęła szkarłatem. Wzrok Romana, błyszczący i zamyślony, upadł na nią i powitał ją jej tylko zrozumiałym wyrazem. Dziewica, w mgnieniu oka odzyskując przytomność, uderzyła parę akordów i w odpowiedź na spojrzenie kochanka pełnym miłości głosem zaśpiewała tę przedziwną, dziewiczą naiwności piosenkę:

„Gdybym ja była słoneczkiem na niebie,
Nie świeciła-bym jak tylko dla ciebie,
Ani na góry, ani na lasy,
Ale po wszystkie czasy,
Nie świeciła-bym jak tylko dla ciebie. ”

Tymczasem pan Odrowąz, ująwszy Romana pod ramię, posunął z nim ku gospodyni domu, a stanąwszy przed nią, rzekł:

— Prezentuję siostrze dobrodziejce pana Romana Hebla, arcy zacnego i miłego młodziana, który *na moją prośbę* zgodził się uczestniczyć w dzisiejszej festynie twojego domu.

Roman uklonił się z głębokim uszanowaniem, pani Eufemia zaczerwieńnięta jak piwonia i do krwi przygryzła usta. Więc syn stolarza tylko na prośbę jej brata zgodził się dom jej nawiedzić! o zgrozo!... Myślała przez chwilę, że zemdleje i poniosła do nosa flakon z solami. Ale szybko przyszedłszy do siebie, wgardliwym spojrzeniem orzuciła stojącego przed nią młodzieńca i wycedziła przez zaciśnięte zęby:

— Nie wiem tylko, czy będzie *mu* przyjemnie w towarzystwie tak pewno różnym od tego, do którego przywykł...

Roman spojrział na nią ze zdziwieniem jakby nie rozumiał słów tych, a pan Odrowąz odparł, powstrzymując siostrę surowym wejrzeniem:

— Pan Hebel jest tak miłym kawalerem, że wszędzie potrafi dobrze się zabawić, zresztą przybył tu ze mną i *ja* będę dbał o jego zabawę.

Szczególny nacisk położył na wyrazie *ja* i spojrział przytępionym na siostrę tak, iż spuściła oczy i ze złości ugryzła zębami rożek batystowej chusteczki.

Pan Odrowąz witał się radośnie z Bolesławem Radzymirem i prezentował wszystkim damom i mężczyznom Romana Hebla, jako posiadającego szczególną jego estymę i afekt. Wszyscy poważali wielce Odrowąza, więc i protegowany przezeń młody człowiek doświadczył ogólnie serdecznego przyjęcia; zresztą miła powierzchowność jego, prostota układu i piękna wymowa, od razu uczyniły w całym zebraniu bardzo korzystne wrażenie. Nim obiad podano, Roman Hebel królował już w gronie młodych ludzi; wszyscy oni po raz pierwszy go widzieli, ale kilku z nich słyszało nazwisko jego, zaszczytnie wspomiane w Krakowie, z kądby zaś był rodem i jakie posiada heraldyczne zaszczyty, ani w głowie nie powstało nikomu zapytać go o to.

Oznajmiono obiad. Pan Odrowąz ofiarował swe ramię pięknej pani Matyldzie i rozpoczął szereg par, idących do stołu, a widząc, że Lilla stała nieco na uboczu, sploniona jak różyczka i co moment spoglądająca w stronę, gdzie był Roman, zawołał:

— No, panie Hebel, nie chcesz-że pan podać ręki mojej synowicy? Jakem Odrowąz, nikt nie zarzuci przecie, że niestosowna z was będzie para!

Na te słowa Roman poskoczył ku Lilli; towarzystwo spoglądając na siebie komentowało oczyma znaczące odezwanie się stryja pięknej panny, a pani Eufemia udawała ślepa i głucha, tylko takim ciężarem zwała się na ramię prowadzącego ją Radzymira, że aż stęknął pocichu nieborak.

Całe towarzystwo po wschodach, ostawionych, kwiatami, zeszło do sali jadalnej, w której dwa wielkie stoły pysznie błyszcząły kryształami i srebrem. Sala ta miała jedną ścianę całą złożoną z okien, a za nią była obszerna cieplarnia, w której, wśród mchu i niskiego kwiecica, wznosiły się i kwitły najrzadsze rośliny. Wszystkie okna od cieplarni były otwarte, i wzrok wchodzących gości uderzała niepospolita, artystyczna piękność ram, oprawiających szyby. Ramy te były z orzechowego drzewa, ale tak misternie i delikatnie wyrabiane, taką wyborną a różnitą ozdobione rzeźbą, że każdy prawie z obecnych przystępował do nich z kolei, przypatrywał się i podziwiał.

Obiad trwał dobre trzy godziny. W czasie wetów rozmowa toczyła się wielce ożywna, a przedmiotem jej były różne allianse i kolligacye familijne. Pan Odrowąż mówił do Edwarda S.:

— Znałem ci ja dobrze ojca pańskiego; był to człowiek wielkiego rozumu i zacności, a przytém i pan całą gębą. Wszakże to pono marszałkował niegdyś gubernii Wołyńskiej!

— Nie, szanowny panie, — odrzekł Edward, — stryj to mój był marszałkiem, a ojciec piastował wcale inny urząd.

— A prawda to, — mówił Odrowąż; — starość blizka, pamięć krótka, przepomniałem; zawszeć jednak możesz pan poszczycić się swą antecedencją, i stryj, i ojciec dzielni byli...

— A pański ojciec, ozwał się Radzymir do innego jakiegoś młodzieńca, czy żyje i w dobrém jest zdrowiu.

— Dziękuję panu, żyje i zdrów jest, — odpowiedział młody człowiek.

— Przyjaciół to mój był od serca za lat młodzieńczych, — mówił Radzymir, — jest w nim i prawość, i rozum, a i milionik w kieszeni, — dodał z uśmiechem.

Pani Eufemia słuchała téj rozmowy o ojcach, i jakby jej nagła myśl jakaś przyszła do głowy, ozwała się donośnie:

— Nic nie może być miłszém dla serca i zaszczytniejszém w oczach ludzi, jak mózdz z dumą nosić nazwisko praojców.

Potém pochylała się nad stołem, zwróciła spojrzenie zmrużonych oczu na Romana, siedzącego obok Lilli, prawie w końcu długiego stołu, i zapytała bardzo głośno:

— Panie Hebel! a pański ojciec kim jest?

Pytanie to, tak dziwne i niestosowne, uczyniło na całym towarzystwie wrażenie piorunu. Obecni zwrócili zdziwione spojrzenia na gospodynię domu, potém wszystkie oczy ciekawie przeniosły się na twarz zapytanego. Pan Odrowąż wypuścił z ręki widelec i mruknął pod wąsem: do krośset! ale przez wzgląd na płeć piękną powstrzymał się i tylko spojrzął na siostrę groźnym wzrokiem.

Roman spojrzął na pytającą i jakby nie dowierzając własnemu słuchowi, zapytał:

— Czy pani do mnie mówi?

— Tak, — powtórzyła pani Eufemia, — pytam pana kim jest pański ojciec.

Milczenie stało się ogólne, wszyscy oddech zatrzymali w piersi, Lilla bladła i rumieniła się na przemian. Ale na pięknej twarzy syna stolarza najmniejsze nie ukazało się wzruszenie. Uśmiechnął się lekko i odrzekł z wielką grzecznością i spokojem:

— Ojciec mój, pani, jest tym samym stolarzem, który robił ramy tak podziwiane przed chwilą i tak pięknie zdobiące okna jęj cieplarni.

Powiedziawszy to, zwrócił się znowu do Lilli i ciągnął dalej przerwana z nią rozmowę. Wszystkie spojrzenia zwały się na twarz nieznanego a sympatycznego młodzieńca. Kilka rąk wzniosło się jak do dania okłasku, kilka ust otworzyło się niby do wyrazu pochwały i szacunku; ale przez poczucie grzeczności dla gospodyni domu, wszyscy powstrzymali objawy swych uczuć, a tylko w całym zebraniu dał się poznać głuchy niesmak i przymus, jak zawsze bywa, gdy ludzie poznają, że jednemu z nich wyrządzono niesłusznie jakieś ubliżenie lub krzywdę. Pani Matylda, ze światowym taktem, wyprowadziła wszystkich z kłopotliwego położenia, odzywając się, że pora już wstać od stołu, bo piękna pogoda wabi do ogrodu. Towarzystwo wstało od obiadu zdumione, bo nikomu przedtém ani przez myśl nie przeszło, aby piękny i wykształcony Roman Hebel mógł być niskiego pochodzenia; a gospodyni domu, widząc, że uczyniła *fiasco* i nie skompromitowała niemilego sobie gościa, sapiąc, wyszła z jadalnej sali.

Po obiedzie mężczyźni zebrali się w osobnym gabinecie dla palenia cygar.

— Niechże cię uścisknę, pocziwy synu stolarza! — zawołał pierwszy Bolesław Radzymir, biorąc w objęcia Romana.

I cała młodzież zaczęła go ścisnąć i całować, pragnąc mu okazać, że śmiała i otwarta swą odpowiedzią zyskał jój przychyłność i poważanie.

— No Romanku! — zawołał Odrowąż, teraz pora palnąć siurpryzę jójmości!

— Panowie! — dodał, zwracając się do mężczyzn, — proszę za mną. Idę w swaty za panem Romanem! „Radziwił swatem, za panem Downutem,” — krzyknął, i ująwszy Romana pod ramię, posunął się z nim na pierwsze piętro i, wszedłszy do salonu, gdzie znajdowała się pani Eufemia, stanął przed nią, pokręcił wężą z fantazyą i rzekł donośnie:

— Przychodzę do ciebie, szanowna siostró dobrodziejko, jako do ciotki i opiekunki synowicy naszej, Lilli Odrowążówny, prosić cię o jój rękę dla stojącego tu oto przed tobą, pana Romana Hebla, który dla afektów swoich moją sankcją stryjowską już najzupełniej pozyskał.

Pani Eufemia otworzyła szeroko oczy, sponsowała i zaczęła mówić:

— Ależ, panie bracie...

Nie mogła skończyć, bo zakrztusiła się złością, poniosła flakon do nosa i krzyknęła:

— Mdleję!...

— To z radości! jakem Odrowąż, z radości mdleje siostra dobrodziejka, że tak zacnego dostaje bratanka! — zawołał pan Wincenty, a spostrzegłszy Lillę, która drżąca kryła się za towarzyszkę, pociągnął ją do siebie, i zdejmując z małego palca piękny brylantowy pierścień, oddał go jój i rzekł:

— Weź to, dziewczyno, i włóż na palec narzeczonego, a śmiało! Pierścieniem tym zaręczała się babka twoja z twym dziadem.

Lilla ze spuszczonego oczyma oddała pierścień Romanowi, który zdjął z palca małą srebrną obrączkę i, oddając ją narzeczonej, rzekł:

— Jest to ślubna obrączka mojej matki, która dotąd nie opuszczała mię nigdy.

— Wiwat, zaręczona para! — zawołał Odrowąż, biorąc z tacy, którą wniósł lokaj, kielich węgryzyna.

— Wiwat! niech żyje syn stolarza! — krzyknęła chórem młodzież i sympatycznym kołem otoczyła Romana.

Nim pani Eufemia odzyskała zupełną przytomność i pojęła dobrze, co się w koło niej dzieje, młoda para była już zaręczoną w obecności stu osób.

— A teraz panowie, — rzekł Odrowąż po spełnionych wiwatach, — wnoszę, abyśmy poszli do pocziwego starego Hebla i przywiedli go tutaj. Niech i on pozna przyszłą swą synowę i wypije z nami zdrowie młodej pary.

W kwadrans potem, otoczony gronem najpoważniejszych gości, wchodził do salonu Onufry Hebel, ze łzą rozczulenia w oku, ale z postawą pełną godności i szlachetnej dumy.

Pani Eufemia siedziała w fotelu, sapiąc i wachając sole, a każdemu, kto się do niej zbliżył, powtarzała:

— Maryaż ten został ułożonym przez mego brata, a panna Lilla nie jest przecież moją córką, abym gwałtownie mogła się sprzeciwiać temu mezaliansowi.

Stary Hebel, skłoniwszy się przed nią, rzekł:

— Przyszedłem tu, aby podziękować pani dobrodziejce, że syna mego przyjęłaś na męża synowicy swojej, a zatem swego bratanka. Mieszkańskie on wprawdzie dziecko, ale ma duszę szlachetną, i ta anielska panienska, która zgodziła się żoną jego zostać, nie pożałuje tego nigdy, że podała rękę synowi stolarza.

W tej chwili do mówiącego zbliżyła się Lilla z Romanem, i oboje ukłękli przed starym ojcem, który zapłakał głośno. Potem zwrócili pochylone głowy ku pani Eufemii, a dumna pani, widząc rozrzewnienie i uradowanie ogólne, czując zresztą przywiązany do siebie bystry i surowy wzrok brata, pulchną dłoń swą położyła na ich głowach i wycedziła przez zęby:

— Niech was Bóg błogosławi.

Wnet potem podniosła do nosa flakon z solami.

— Panie Hebel! wszak tańczysz poloneza? — zapytał Odrowąż.

— Tańczyło się to parę razy za młodu, to się i przypomni, — odparł stary stolarz.

— No to zapraszaj w tany panią domu, a ja wybieram sobie moją dziewczeczkę, narzeczoną.

— A ja pana narzeczonego, — rzekła wdzięcznie Matylda i podała rękę synowi stolarza.

Pani Eufemia nie śmiała, nie miała siły sprzeciwić się, ogólnemu popędowi i, sapiąc i wachając sole, położyła rękę na ramieniu Hebla.

— Różnij kapelo! — krzyknął Odrowąż i na czele kilkudziesięciu par posunął na przód z Lillą.

Huczny polonez brzmiał w ścianach Olskiego pałacu, świetne pary z powagą i wdziękiem przesuwały się po salonach pod rześnistym światłem, płynącym z pajaków i kinkietów.

Przez całą noc grzmiące akordy orkiestry płynęły w dal przez otwarte okna pałacu, a buchające z uilluminowanych ogrodów światło dochodziło aż do cichego a pustego owej nocy domku Hebla. Te blaski i odgłosy obudził śpiącą w swém gniazdku jaskółkę, towarzyszkę stolarza. Myślała, że to już dzień nadchodzi i wysunęła główkę na świat Boży, ale, ujrawszy cienie nocy, znowu utuliła się cicho i tylko szczebiotała jeszcze przez chwilę, jakby mówiła: „bawcie się sobie, ludzie, hucznie i wesoło, a ja spokojnie noc w mem gniazdku przepędzę, bo niema większego na świecie szczęścia, jak sen spokojny w swém własném gniazdeczku.”

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/syn-stolarza>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Z różnych sfer*, tom I, nakład i druk S. Lewentala, Warszawa 1886.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Jörg Schreier@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0653-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).